

Staszek Dolina przebudził się w środku nocy niespokojny, z uczuciem narastającej trwogi. Nie pamiętał, żeby mu się coś straszniego śniło. W ciężkim barakowym zaduchu słychać było pochrapywania, senne majaczenia, pokaszływania, gdzieś tam popłakiwało dziecko, ktoś z beczki wodę czerpał i głośno siorbał przy picciu, ktoś skrzywnął wyjściowymi drzwiami. Ojciec spał obok, oddychał miarowo i spokojnie. Z drugiej strony Staszka spał mały Tadek, a dalej, od samej ściany, mama. Staszek powoli otworzył oczy. Matka nie spała. Siedziała na pryczy z wysoko podciągniętymi kolanami, ścisnęła głowę w dłoniach i kiwała się rytmicznie. Chyba pojękiwała a może popłakiwała cichutko. Wsłuchał się uważniej i usłyszał, że mama nie tylko popłakuje, ale na przemian podśpiewuje, to znów z czegoś się śmieje. Przestraszył się. Zrozumiał, że z mamą dzieje się coś niezwykłego. Zdecydował się, przysiadł i zapytał szeptem:

– Mamo! mamusiu, co ci jest?

Matka nie reagowała, kiwała się w niezmienionej pozycji, zajęta sobą. Słyszał pojedyncze słowa, wypowiedane bez ładunku i składni:

– Strug wylał! Woda, woda... Bolać cię, Tadziu, nóżki, bolać...

Jakaś ty, Gizela! Do Borku. Nie, nie chcę! Nigdzie nie pójdziemy. Tyle ludzi na odpuszczenie!... „Wyganiała Kasia wołki, raz, dwa, trzy...”

Staszek dotknął matczynego ramienia.

– Mamusiu, co ci jest?

Głos mu drżał i chciało mu się płakać. Tym razem jakby ocknęła się, zareagowała. Przestała się kiwać, opuściła ręce i powoli obróciła głowę w jego stronę. Popatrzyła szeroko rozwartymi oczami.

– Mamusiu, to ja Staszek!

Poznała go. Wyciągnęła do niego drżącą rękę.
– Aaa! Tak, tak..., syneczku!... Śpij, Stasiu, śpij... Nic, nic mi nie jest. Tak... – Matczyzna dłoń była gorąca, spocona. Nagle wyszarpnęła ją, znowu ścisnęła skronie i zajęczała.
Staszek obudził ojca.

Nad ranem mama uspokoiła się, usnęła. Oddychała szybko, jak ryba łowiła powietrze otwartymi ustami. Ojciec nie kładł się spać, do świtu było niedaleko. Denerwował się, bo musiał iść do roboty. Staszek wdział porcięta, wciągnął przez głowę podarty sweter, z którego już wyrastał, i zsunął się z pryczy.

– Na dwór skoczę – opowiedział się ojcu. Drzwi były na drugim końcu baraku. Ludzie wstawali do roboty. Tłoczno było przy beczce z wodą, przy dymiących piecykach. Przystanął na środku baraku, bo zauważył, jak ludzie owijali kogoś w prześcieradło.

– Ząbkowa dzisiejszej nocy umarła.

– Kąkolowi też niewiele brakowało.

– Nie płacz się pod nogami! – ofuknął go Ziemniak. Staszek wyskoczył przed barak. Wschodziło czerwone słońce, srebrzysty szron parzył stopy chłodem. Wracając, musiał poczekać przed progiem, bo właśnie Ząbkową wynoszono. Ojciec był już przygotowany do wyjścia.

– Coś tam tak długo robił? Do roboty muszę...

– Ząbkowa umarła, tato!

– Ząbkowa? Co ty wygadujesz? Jeszcze wczoraj...

– Ziemniak z Jaśkiem Szajną wynosili ją do kostnicy. Widziałem...

Ojciec nachylił się nad mamą. Dotknął jej czoła.

– Mama śpi. Niech śpi, to jej dobrze zrobi. Gorączka spadnie. Pewnie się przeziębila. Pilnuj tu, Stasiu, wszystkiego. Tadzka ubierz. A jak się mama przebudzi, daj jej się napić. Tu, w garnuszku, malinówkę zagotowałem. A tu masz kawałek chleba. Mamie do wody pokruszysz. Niech koniecznie coś zje. No i dla was po odrobinie... Wieczorem zupy ze stołówki przyniosę, to się wszyscy najemy. Śpi mama, śpi. To dobrze, dobrze... Pilnuj tu, Stasiu, wszystkiego. A jak

by coś, to babcia Szajnina albo Ziemniaczka ci pomoże. Albo pani Korczyńska...

Ludzie wyszli do roboty. Po baraku leniwie snuły się staruchy, hałasowały dzieciaki. Na pryczach leżeli chorzy. Coraz więcej ludzi chorowało. I coraz więcej umierało. Staszek przypomniał sobie ludzi z pierwszego baraku. Dzisiaj panią Ząbkową wynieśli. Wczoraj aż dwie osoby z ich baraku umarły: najpierw Niski, a zaraz po nim Gi-bałowa. A jeszcze parę dni temu Dąbrówka i ta dziewczyna, co Józka jej było. Jak się ona nazywała? No Wróblewska przecież! Chorują ludzie w Kaluczem, umierają. Mówią, że to tyfus albo inna jakaś zara-za.

Naśladować ojca, Staszek ostrożnie dotknął matczynego czoła. Było suche i gorące. Otulił matkę kocem. Tadek zwinięty w kłębek jeszcze spał. Staszek sięgnął po garnuszek. Był to półlitrowy biało emaliowany garnuszek z niebieskimi fiołkami. Staszek pamiętał, jak z tym garnuszkiem, jeszcze w Kalinowej, biegał do stajni na ranne dojenie krów. Do tego garnuszka mama nalewała mu świeżo wydojonego, mleka. Zdmuchiwał z mleka pianę i wypijał je jednym duszkiem. Mam uśmiechała się i przygadywała:

– Ale z ciebie cielątko!

Ten garnuszek z fiołkami pojechał z nimi z Kalinowej do Worwo-liniec, potem do Czerwonego Jaru, a teraz znalazł się w Kaluczem, na Sybirze. Staszek sięgnął po niego ostrożnie, żeby nie rozlać napo-ju, jaki ojciec przygotował dla mamy z malinowych łodyg. Siorbnął pół łyku. Malinówka była jeszcze ciepła, gorzkawo-cierpka. Mama się przebudzi, to da się jej napić. Szkoda tylko, że nie mają ani kostki cu-kru. A potem jak się już mamusia napije herbaty, to w tym samym garnuszku zagotuje wody, posoli do smaku, bo soli to jeszcze trochę mają, i nakruszy jej tam chleba. Dobra będzie z tego zupa, kwaskowa taka. Mama poje, pokrzepi się dla zdrowia. Staszek przełknął ślinę. Zawsze był głodny. W Kaluczem nigdy nie najadł się do syta. Sięgnął na półeczkę, gdzie ojciec zostawił chleb. Ostrożnie odwinął szmatkę. Ćwiartka czarnego chleba pachniała zakwaską. Staszek przysunął

chleb do nosa i długo, z lubością wdychał jego zapach. Ujął go w dło-nie i oglądał ze wszystkich stron. Z trudem zwalczył pokusę, owinął chleb i położył na miejsce. Powąchał i starczy. Tadekowi odłamię ka-waleczek, ale mamie najwięcej, żeby szybciej wyzdrowiała. Swoją po-rcję też może jej dać. Na pewno jej da. A on, co tam, poczeka sobie do wieczora. Przyjdzie tatuś z wyrębu, zupy ze stołówki przyniesie, to wtędy wszyscy razem sobie pojedzą. A mamusi znowu damy najwię-cej, żeby szybko wyzdrowiała.

– Mamo! Mamusiu!

– Cicho! Nie drzyj się, nie widzisz, że mamusia jeszcze śpi! – skar-cił braciszka, który dopiero co się przebudził i tarł piąstkami zaspane oczy. Tadek, jak na jego cztery latka przystało, z tego, co się dookoła niego działo, rozumiał niewiele. Choć trzeba przyznać, że się starał. I Staszka słuchał. Rodzice skoro świt wychodzili do pracy, wracali wie-czorem, a przez ten czas chłopcy musieli radzić sobie sami.

– Chodź tu, ubierzesz się.

Uwinęli się z tym szybko. Tadek spał w tym samym niebieskim sweterku, w którym chodził na co dzień.

– Kupę!

– Ten nic, tylko jeść i kupę! – Staszek naciągał braciszкови na bo-se nogi przyciasne śniegowce.

– Czemu mamusia śpi?

– Bo jest chora. Musimy być cicho. No, lecimy.

W drzwiach baraku rozminęli się z mężczyzną w białym chałacie. Staszek wiedział, że jest to tutejszy pan doktor, nazywa się Tartakow-ski, daje zwolnienia od pracy i urzęduje w szpitalnym baraku. Razem z doktorem była na biało ubrana pani, o której Staszek wiedział, że jest Polką, pomaga doktorowi i mieszka w piątym baraku. Jak wróci-my, to może ją poproszę, żeby mamusi jakieś lekarstwo dała?

W Kaluczem wybuchła epidemia tyfusu. Felczer Tartakowski miał na tyle obozowej praktyki, żeby już po kilkunastu przypadkach nie mieć co do tego żadnych wątpliwości. Objawy wskazywały na dur brzuszny. Najgorsze, że nie miał go czym leczyć. Aspiryna i trochę

chininy, to było wszystko, czym w swojej apteczce dysponował. Tym też leczył. Aspiryną zbijał wysoką gorączkę. Chinina w małych dawkach też nie mogła zaszkodzić. Czy pomagała? Ważne, że działała przeciwgorączkowo i przeciwbólowo. Nie miał surowicy do zastrzyków, nie mógł tyfusowi zapobiegać. Do tego te straszne warunki barakowe, brak higieny, wszawica. Wiedział, że chorym, a zwłaszcza ozdrowieńcom, potrzebna jest zasobna w witaminy, wysokokaloryczna dieta. Tymczasem w Kaluczem nawet zdrowi umierali z głodu. Na jakąkolwiek pomoc z zewnątrz, zwłaszcza na szczepionkę, musiał czekać, aż drogi staną się przejezdne.

Na alarmujące meldunki Sawina tajszcecka centrala NKWD odpowiadała tym samym zwięzłym tekstem: „Stosować profilaktykę i czekać na dostarczenie szczepionki. Chorych izolować w osobnym baraku. Dostarczać zdrową, gotowaną wodę, zwalczać brud i insekty”.

Na takie rady Tartakowski nie wiedział: śmiać się czy płakać. Tyfus, choroba zaraźliwa. Komendant Sawin przeraził się nie na żarty, kiedy na tyfus zmarło dwóch żołnierzy i jego zastępcę, znienawidzony przez zesłańców Barabanow.

– Nareszcie Pan Bóg go pokarał – cieszyli się co bardziej mściwi.

Staszek wrócił z Tadkiem do baraku i już od wejścia dojrzał, że przy ich pryczy stał Tartakowski otoczony gromadką kobiet. „Co oni tam robią?” Mama leżała z zamkniętymi powiekami, a nachylony nad nią Tartakowski obsłuchiwał ją drewnianą, podobną do trąbki lekarską słuchawką.

Felczer schował słuchawkę do kieszeni fartucha, coś podumał, jeszcze raz dotknął dłonią czoła chorej, odwinął jedną powiekę.

– Do izolatki? – radził się pielęgniarki, pani Sadkowskiej.

Ta skinęła potwierdzająco głową, odwróciła się do kobiet i spytała:

– Jest tu kto z rodziny?

Kobiety pokazały na Staszka.

– Tata w robocie!? Zabieramy twoją mamę do szpitala. Zaraz przyślemy tu sanitariuszy z noszami, to pomóżecie im chorą zabrać.

– Z tym zwróciła się do kobiet.

Staszek złapał pielęgniarkę za rękaw. Głos mu drżał, chciało mu się płakać.

– Ale, proszę pani, tatuś, tatuś mi powiedział, że jak się mamusia wyśpi, to wszystko będzie dobrze.

– Będzie dobrze, na pewno będzie dobrze.

– Niech pani mamusi nie zabiera! Tatuś herbaty jej naszykował, chleba zostawił.

Sadkowska pogłaskała go po głowie.

– Jak ci, chłopcze, na imię?

– Staszek, a jemu Tadek.

– Braciszek? Posłuchaj mnie, Stasiu, uważnie. Jesteś już duży chłopiec. Widzisz sam, ilu ludzi w barakach choruje. Twoja mamusia też zachorowała. Doktor ją zbadał i mówi, że trzeba ją wziąć do szpitala. Wiesz przecież, że w szpitalu leczy się ludzi. Tam mamie będzie lepiej, rozumiesz?

– Rozumiem, proszę pani. A mamusia wyzdrowieje?

– Wyzdrowieje, nie bój się, na pewno wyzdrowieje...

Przyszli sanitariusze z drewnianymi noszami. Kobiety wciąż nieprzytomną Dolinową owinęły w koc. Sanitariusze ułożyli ją na noszach i ponieśli

Chłopcy kręcili się w pobliżu szpitalnego baraku prawie do wieczora.

Tadek taplał się w błocie, puszczał patyki i gonił za nimi wzdłuż strumyka, gapił się na przelatujące po wiosennym niebie klucze gęgającego ptactwa, objadał z sosny żywicę. Staszek schował szmatkę z resztą chleba za pazuchę, żeby mu jej chłopaki z innych baraków nie odebrali, popatrywał za młodszym bratem, ale główną uwagę koncentrował na szpitalu.

Szpitalny barak niczym na zewnątrz się nie wyróżniał od pozostałych. Drewniany, parterowy, z niewielkimi oknami. Staszek podkrał się pod ścianę i chciał zajrzeć do środka, ale okna były przysłonięte szpitalną gazą, więc nie dojrzał niczego. Nieco zawiedziony wycofał się na powaloną sosnę. Ruch koło szpitala nie ustawał. Ci sami sanita-

riusze, którzy zabrali mamę, znosili chorych z innych baraków. Dwa razy ze szpitala wynosili zmarłych do kostnicy.

Blisko kostnicy trzecie pilowali deski na trumny. Stolarzom zabrakło gwoździ, więc wiązali trumny wrębami, takimi jak węży w starych, drewnianych chałupach. Jakaś rodzina z trzeciego baraku załadowała trumnę z nieboszczykiem na sanki i po błocie wlokła ją na cmentarz. Dzieciaki zbierały trociny i wióry spod trzcza, podsycaly nimi ognisko. Jakieś kobiety w białe fartuchy odziane, pewnie też sanitariuszki, wchodziły i wychodziły ze szpitala, ale Staszek nie śmiał do nich podejść. Tylko pani Sadkowskiej nie mógł się doczekać.

Ludzie już dawno wrócili z roboty, a ojca wciąż nie było. Dopiero sąsiadka z pryczy, Julia Ziemiakowa, powiedziała im, że ojciec prosto z roboty pobiegł do mamy, do szpitala. Wracając ojciec wstał jeszcze do stołówki i przyniósł w kociołku porcję zupy. Jedli w milczeniu. Staszek skręcał się z ciekawości, żeby usłyszeć, jak tam mama, ale nie śmiał ojca zapytać. Zupa z trudem przechodziła mu przez gardło. Naraz przypomniał sobie o reszcie chleba. Sięgnął za pazuchę i oddał ojcu zawiniątko.

– Tylko tyle zostało, tatusiu. Tadiusz płakał, to mu dałem. A wiesz, sanitariusze to nie chcieli tego chleba dla mamusi wziąć. Mówili, że tam, w szpitalu, to im dają jeść. Nawet chleb tam...

– Dobrze, Stasiu, dobrze...

Ojciec mówił niezwykajnie cicho, łagodnie, trzęsła mu się ręka z zawiniątkiem i przez jakąś chwilę nie patrzył na Staszka, tylko wodził wzrokiem po ścianach.

– Zaraz was tym chlebem podzielę. Do zupy sobie pokruszycie. A spóźniłem się, bo byłem w szpitalu mamusię odwiedzić.

– Obudziła się już? – Staszek nie wytrzymał.

– Obudziła? A..., tak, tak! Obudziła się, przytomna już jest. Pytała się o was. Gorączka mniejsza. Lekarstwo jej dali.

– A kiedy mamusia wróci? – Staszek się zdziwił, że zamiast niego zapytał o mamę Tadek. Ojciec dolał mu zupy ze swojego kociołka.

– Wróci nasza mama, wróci! Niech tylko trochę wyzdrowieje, to do nas wróci.

Dolina nie powiedział dzieciom prawdy. Stan zdrowia ich matki był ciężki, prawie beznadziejny. Kiedy przybiegł na izolatkę, Tosia spała. Stał przy niej, patrzył i nie budził. Podeszła Sadkowska, odeszli na bok. Nie musiał o nic pytać:

– Niestety, tyfus. Tak jak ci wszyscy w tej sali.

– Wyjdzie z tego?

– W Bogu nadzieja! Gorączka strasznie wysoka. W południe na chwilę odzyskała przytomność.

– Może coś przynieść, o coś się postarać?

– Lekarstw nie mamy, szczepionki. Ale przecież o to pan się tu nie postara. Wszystko zależy od siły organizmu.

– Może coś do zjedzenia?

– Panie Dolina, niech pan będzie poważny! Co, może rosółu z kury pan ugotuje? Był tylko kryzys minął, to i na tej kaszy, co tu mamy, jakoś wyżyjemy.

– Niech pani żonie powie, że tu byłem, tylko nie chciałem jej budzić. I że jutro też wpadnę.

– Powiem, powiem...

Nazajutrz była niedziela. Jeszcze przed świtem Dolina obudził Staszka i powiedział mu, żeby wszystkiego pilnował, bo on teraz pójdzie w tajgę nabierać czeremszy i saranki. Lekarz powiedział, że to będzie dobre dla mamy. Być może wróci późno, nawet wieczorem, to żeby się nie denerwowali. Teraz też nie mówił dzieciom prawdy. W czasie bezsennej nocy postanowił, że mimo roztopów spróbuje przedostać się do Usolia i wymienić coś u znajomego Buriata. A może właśnie dostanie tę kurę na rosół, o którym wspominała Sadkowska. A może jakieś lekarstwo od Buriatów przyniesie?

Podobnie jak w zimie, Dolina trzymał się Pojmy, pokonując jej brzegiem bezdrożne wzgórza i doliny. Wiosna zaczynała wstępować w swoje prawa. W zimie jakoś nie zapamiętał, że Pojma kręci się tyłoma ostrymi zakolami. Do tego nie przewidział najgorszego: szero-

kości i głębokości jej wiosennych dopływów. W jednym z takich potoków omal się nie utopił. Bystry dopływ Pojmy, który przegrodził mu drogę, był za szeroki, żeby go przeskoczyć. Za bystry, za zimny i za głęboki, żeby sforsować go w bród. Zauważył wiatrołom starej sosny, zwalony z jednego brzegu na drugi. Poprawił siekiere za pasem, owinął na ręce worek z ubraniami do wymiany, i balansując dla równowagi, wolno, stopa za stopą, sunął ku drugiemu brzegowi. Nagle pośliznął się, stracił równowagę, gałąź, za którą złapał instynktownie, trzasnęła i mocny lodowaty nurt strumienia powłókł go jak piórko do głównego nurtu Pojmy. Ratował się, jak umiał. Nie miał się za co zaczepić, krztusił się wodą, słabł coraz bardziej. Ratować się, ratować! Taka głupia śmierć. Tosia! Dzieciaki! Jakiś korzeń. Teraz! Mocne, bolesne uderzenie bokiem o zatopioną kłodę. Na niej się zatrzymał.

Do Kaluczego dowlókł się Dolina resztkami sił, bez worka z odzieżą, bez siekiery. Do Usolia nie dotarł, musiał wrócić... Mijały dni, matka ze szpitala nie wracała. Staszek całymi dniami kręcił się w pobliżu szpitalnego baraku, a stara powalona sosna stała się jego stałym obserwacyjnym punktem. Kilka razy nawet odważył się zaczepić panią Sadkowską. Głaskała go po głowie, pocieszała i mówiła to samo co ojciec. Na Staszkowe odwiedziny w szpitalu nie chciała się zgodzić.

Niepocieszony wrócił na starą sosnę, ofuknął brata, żeby ten nie zalepiał sobie ust żywicą, bo i tak się tym nie naje, i zdecydował, że... napisze do mamy list! Zeskoczył z sosny, złapał Tadzka za rękę i pobiegł do baraku. Z czasów, kiedy jeszcze pan Korczyński ich uczył, Staszek zachował pod pryczą stary zeszyt i ogryzek chemicznego ołówka. Poślinił ołówek i zaczął pisać:

„Kochana mamusiu! Czy już jesteś zdrowa?”... Zaraz jednak zaczął od nowa, bo mu się przypomniało, że wszystkie listy, jakie pisała mama albo czasami od kogoś otrzymywała i czytała na głos, to te wszystkie listy zaczynały się tak: „W pierwszych słowach mojego listu niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”. Więc i on tak zaczął: „Ko-

chana mamusiu, czy już jesteś zdrowa? Bo my dzięki Bogu jesteśmy wszyscy zdrowi. A Tadius jest grzeczny. Tylko czasem płacze, bo chce mu się jeść i żebyś ty była już razem z nami. A ja ciebie, mamusiu, odwiedzę, jak mi pani Sadkowska pozwoli. Bo ona jest dobra. I na tym już kończę, w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, amen. Staszek. A te bazgroły to porobił Tadius, bo chciał też do ciebie napisać, ale jeszcze nie umie”.

Staszek wyrwał kartkę, zeszyt i ołówek schował pod pryczę i pobiegł śpiesznie na swoją sosnę wypatrywać pani Sadkowskiej. Tym razem miał szczęście. Pani Sadkowska ze szpitala wyszła, wzięła karteczkę bez słowa, schowała ją do kieszeni fartucha i tylko mu palcem pogroziła.

Wieczorem jak zwykle siorbali z ojcem zupę. Tadek wylizywał miseczkę. Ojciec pogłaskał go po białej czuprynie, spojrzął na Staszka i uśmiechnął się.

– No, Stasiu, jutro rano weźmiesz Tadzia i pójdziecie do szpitala mamusię odwiedzić. Pani Sadkowska wie, to was do mamy zaprowadzi.

– Dobrze, tatusiu!

– „Dobrze, dobrze!” Ale z ciebie, synu, to też lepszy gagatek, żeby mi nic o liście do mamy nie powiedzieć.

– Bo ja, bo ja myślałem, tatusiu...

Staszek chyba całą noc nie spał. Czatował, żeby wstać zaraz, jak tylko ojciec pójdzie do roboty. Spod koca widział, jak ojciec przyrządził w garnuszku wywar z malinowych lodyg i nawet wrzucił tam kawaleczek cukru. Skąd go miał, pewnie od kogoś specjalnie dla mamusi pożyczył?

Szli do szpitala wolniutko, bo Staszek uważał, żeby mu się z garnuszka malinówka nie wypłuskała. Tadek dreptał, ubrany w niebieski płaszczyk z poślaczanymi guzikami, wyszorowany, aż mu uszy od tego mycia poczerwieśniały. Staszek przywdział na tę okazję granatowe ubranko, jakie kupiła mu mama w Tłustem, na rozpoczęcie nowego roku szkolnego. Przyszli za wcześnie, bo pani Sadkowskiej nie

było widać. Stali przy drzwiach. Staszek chronił garnuszek połą marnarki, żeby malinówka nie wyziębla. Czekali. Wreszcie wyszła pani Sadkowska.

– Chyba przez całą noc nie spaliście? No, dobrze, chodźcie, zaprowadzę was do waszej mamy. Ale tylko na chwileczkę! I żadnego mi tam płaczu!

– Dobrze, proszę pani.

– Co tam masz w tym garnuszku?

– Malinowej herbaty tatuś zrobił. Słodzona!

– Ho, ho, słodzona, mówisz? No dobrze, idziemy.

W szpitalnym baraku panował półmrok, piekł w oczy karbol, ciężkie powietrze śmierdziało zgnilizną i ludzkimi odchodami. Wzdłuż ścian ciasno, jedna przy drugiej, stały pojedyncze drewniane prycze. Wszystkie zatłoczone chorymi. Staszek wypatrywał mamy. Niecierpliwie prześlizgiwał się wzrokiem po pryczach. Potknął się przy tym, z garnuszka trochę się wylało.

Na końcu długiej sali pani Sadkowska stanęła obok pryczy, na której siedziała mama i wyciągała do nich ręce. Staszek popchnął ku niej Tadeka, przełknął ślinę i całą siłą chłopięcej woli wstrzymywał łzy pod powiekami.

Tadek był mały, prycza za wysoka, mama za słaba, żeby się ku niemu pochylić, więc tylko głaskała go po włosach, dotykała policzków. Czarnosrebrzyste mamine włosy jeszcze bardziej uwypuklały kredową biel jej twarzy, ściągnięte do kości policzki, zaostroszony nos, podkrążone, głęboko wpadnięte oczy i spękane wargi spalone gorączką. Jej chude jak szkielet ciało odziane było w szarobiałą, zgrzebną koszulę.

– Stasiu, synku!

Głos miała cichy. Jej ogromne, tak charakterystycznie wyraziste migdałowe oczy patrzyły na syna w miłość. Czuł na skroniach dotyk matczynych, drżących dłoni. Trzymał garnuszek, było mu niezręcznie i zamiast w rękę pocałował mamę w rękaw szpitalnej koszuli.

– Mamusiu, tatuś malinowej herbaty ci zrobił. Słodka!

– Dziękuję, dziękuję. Po co ten kłopot. No i jak wy tam beze mnie, złotka moje?

Pani Sadkowska poprawiła nabity trawą zagłówek, pomogła mamie unieść się nieco wyżej.

– Niech się pani napije, pani Tosiu. – Pani Sadkowska podała chorej garnuszek. Staszek patrzył, jak matka trzymała ten garnuszek oburącz, jak jej chude białoskóre dłonie, z wyraźnymi liniami niebieskich żył, trzęsły się i nieporadnie drżały. Patrzył, jak matka niezdarnie przytyka naczynie do spękanych fioletowych warg, głośno siorbie i jak jej zęby szczękają po obitej emalii.

To ci dopiero był radosny dzień! Staszka jakby ktoś na sto koni wsadził. Po wyjściu ze szpitala w te pędy pogonili do baraku, by się swoją radością z sąsiadami podzielić, że mama ma się dobrze i że tylko patrzeć, jak wróci ze szpitala.

– Daj Boże, daj Boże! – kiwała na to głową babka Szajnina.

Wieczorem ojciec zaniósł mamie grzebień, spinki do włosów, półbuty i sukienkę. Tę sukienkę, którą mama najbardziej lubiła. Materiał kupiła w Tyczynie, szyła w Kalinowej u Gizeli, a w którą pierwszą raz się ubrała na Zielną, do borkowskiego klasztoru na odpust. Suknia była ze złocistobrazowego jedwabiu, rozrysowanego fioletowobordowymi makami. Mama gustowała w takich kontrastowych, barwnych cygańskich kolorach. Staszek też lubił, kiedy mama w tej sukience chodziła. Wszyscy się wtedy za nią oglądali, a kalinowskie baby zazdrośnie poszeptywały: „Patrzcie, jaką to znów Tosia piękną sukienkę sobie sprawiła”. Ojcu też się pewnie podobała, bo kiedy już tu w Kaluczem, wybierali odzież na wymianę u Buriatów i mama chciała oddać swoją sukienkę, tata odłożył ją z powrotem.

– Tato, to kiedy mamusia wyjdzie? – Niecierpliwiał się Staszek.

– Jak wszystko będzie dobrze, to może już nawet jutro. Nie martw się, synu, dadzą nam znać.

Staszek bał się, że mogą się z mamą rozminąć. Od samego rana przysiadł z Tadekiem na swojej przyszpitalnej sośnie. Dzień dłużył mu się okropnie, miało się pod wieczór, a mama wciąż ze szpitala nie wy-

chodziła. Więc kiedy dojrzał panią Sadkowską, pośpiesznie stanął na jej drodze. Nawet o nic nie pytał. Pani Sadkowska przystanąła, przycupnęła przed Tadekiem, wyjęła chusteczkę i wytarła mu nos. Wstając, jakby się upewniła.

– Ty masz na imię Staszek?

– Tak, proszę pani.

Położyła dłoń na jego ramieniu i patrząc mu uważnie w oczy, powiedziała:

– Słuchaj, Stasiu, jesteś już dużym i rozumnym chłopcem. Przykro mi, ale wasza mamusia jeszcze dzisiaj ze szpitala nie wyjdzie. Wczoraj było prawie dobrze, a dzisiaj znowu mamie się pogorszyło. Musimy poczekać. Weź małego, zimno się już robi i wracajcie do baraku. Ojciec poszedł do szpitala na noc.

– Posiedzę trochę przy mamie... Kładźcie się spać, na mnie nie czekajcie. Tadekowi nogi umyj i przypilnuj, żeby zmówił paciorek.

Tadek miał nogi jak rzepa, spękane od taplania się w wodzie, obtarł przy kostkach, myć się nie chciał, popłakiwał. A potem zaraz wzięło go na sen, ziewał i Staszekowi z trudem udało go się namówić, żeby się przeżegnał. „Aniele Boży, stróżu mój”, powtarzał za Staszkiem półsennie, kwękał i gubił słowa. Nie męczył go więcej modlitwami, otulił braciszka kocem.

Staszek ułożył się na pryczy, naciągnął koc na głowę, żeby nie słyszeć, co się dzieje w baraku. Ale sen nie przychodził. Męczył się, przewracał z boku na bok. I o czymkolwiek próbował pomyśleć, wszystko po chwili dokądś uciekało, rozpływało się we mgle, a przed jego oczy wracała mama leżąca na szpitalnej pryczy. I ten jej cichy głos: „Stasiu, synku!”... Nie, nie, nie! Mamusia wyzdrowieje! Na pewno wyzdrowieje. Moja mama nie umrze. Nie może umrzeć! Ksiądz Niemczycki uczył go na religii, że jak się bardzo, bardzo wierzy, to Pan Bóg zawsze człowieka wysłucha. Staszek wstał, ukląkł. „Wierzę w ciebie, Boże żywy”...

Nie pamiętał, jak zasnął. Jedyne, co mu się przypomniało, to, że modlił się i prosił o zdrowie dla mamy. Ojca jeszcze nie było, widocz-

nie ze szpitala nie wrócił. Tadek spał. Spali ludzie w baraku. Tymczasem wiosenne słońce już wstało i jego ukośne promyki sączyły się przez małe barakowe okno. Staszek zsunął się z pryczy i podszedł do okna. Widział stąd Pojmę, zieloną ścianę tajgi na drugim brzegu, komendanturę w oddali, a nieco bliżej ścieżkę do szpitalnego baraku. Nagle drgnął, niemal przylepił się do szyby i przysłonił ręką słońce, żeby lepiej widzieć. Od strony szpitala wolnym krokiem w stronę kostnicy szli sanitariusze z noszami. Za noszami szedł ojciec. A na noszach, a na tych noszach leżała mama! Staszek poznał złocistą, ulubioną maminią sukienkę.

– Mamusiu! Maamoooo!...